ROZMAITOŚCI.

Dnia 6 czerwca, Ner. 23. roku 1846.

PRAWA SERCA.

SZKIC.

. . . .

Próżne tam trudy i daremne znoje,
Gdzie czucie siły odpowiedniéj niéma; —
Rozum bez czucia jestto wieczna zima.

Z moich pieśni.

I.

O szaréj godzinie siedział Karol zadumany. To coś nadzwyczajnego; bo trzeba nam wiedziéć, że taki pojaw duszy Karola nie dawał się całkiem zastosować do szkoły jego życia, do szkoły, któréj przez lat 24 trzymał się stale, a nawet uporczywie jak scholastyk Arystotelesa. Zkądże naraz taka zmiana? — Czemuż dziś Karol marzy, kiedy marzenie podług niego niepotrzebna marynata uczuć i myśli, która człowiekowi zawadza w życiu jak pniak na gościńcu? Gdyby można, pokusiłbym się wierzyć w zmianę charakteru; — ale niepodobna! Karol i za zbawienie świata nie zboczyłby od raz ugruntowanéj maksymy życia, — a że miał taką, o tém ani wątpić.

Jedynak zamożnych rodziców, chowany w domu do 15go roku pod przewodnictwem ojca, zagorzałego wyznawcy berlińskich apostołów, obrzucany co chwila cytacyjami z Kanta lub Szelinga, wzrastał między poważnémi półkami biblijoteki jak drzewo w cieniu, nie wiedząc wcale, że gdzieś tam za cieniem świéci słońce uczuć, które ogrzéwa nam życie wystawione na nieustanne zawieruchy, że mu w piersi mieszka także ów mędrzec, który piérwszy odgadł Boga — serce — z całém jego państwem uczuć i nadziei. Ale zato Karol nabrał hartu duszy, wybitności lica, i wyrachowania do każdego kroku.

Nadaremnie stokrotnie kołatano do jego serca; wydawało ono tylko głuche echo jak spustoszałe zamczysko, — bo Karol nie zaznał dobroczynnéj ręki, którаby w dziecięcéj duszy rozruszała tę strunę życia, co nas słodkiémi dźwięki tak upaja od kolebki aż do mogiły. — Karol nie znał miłości. Zwykle śród rozmowy szydził z wyrazów: kochanka, przyjaciel, mianując je wynalazkiem niedołęstwa i braku wykształcenia; — sam też żył z towarzyszami, jak się żyje ze starym sprzętem domowym, lub ze suknią, bez któréj się obejść nie można. Jednem słowem, Karol był zimnym mędrcem.

Smutnyto zaiste charakter, a Karol nie piérwszy na tego rodzaju. — Ale, kogoż obwiniać za to? Któż powołany do tego, aby w dziecięcą duszę wléwać piérwsze słowa miłości, i uczuć pieśnią do snu ją kołysać? Odpowiécie — matka. A jeźli, niestety gorzko wymówić, matka ta z płochości zabaczy świętą swoją powinność, jeżeli złém życiem zbezcześci swoje boskie posłannictwo, i nigdy płaczącego dziecięcia nie utuli u kochającéj piersi, któż odpowie za nieszczęsną przyszłość jego? — A Karola podobny los spotkał. Matki — weźcie sobie to do serca! — Sam jeden ojciec nie wydoła wszystkim należytościom dobrego wychowania, będzie ono zawsze tylko połowiczne i niedostateczne, chociażby na najlepszych zasadach.

Otóż tedy, Karol siedział zadumany. Chwycił za gitarę, chciał śpiéwać w nadziei wybicia się z niezwykłego usposobienia, — i znów ją odłożył; — chodził szybko po pokoju, siadał i znowu wstawał, a każde poruszenie jego świadczyło o jakiejś wewnętrznéj walce, o silném ściéraniu się myśli.

Wtém drzwi się otwarły.

„Jak się masz Karolu?" rzekł łagodnym głosem wchodzący o bladém licu mężczyzna.

„Jak się mam?" odpowiedział pomieszany Karol. „Mam się.... wszak widzisz... dobrze..."

„Karolu, ty coś ukrywasz przedemną."

„Dziwne przewidzenie, Adolfie, ja niémam żadnych tajemnic."

„Więc to nieprawda, co mówi całe miasto?..."

„Cóż takiego?" zapytał roztargniony Karol.

„Że się żenisz!..."

„Przeklęcie!" krzyknął tupnąwszy nogą. „Więc mię już wzięli na języki. Otóżto wasza miłość głupia przywiedzie mię nakoniec do rozpaczy. A więc tak jest, żenię się, lecz z ofiarą mojego charakteru."

„Karolu — i tyż nazywasz to ofiarą? Oddać swoje serce pod straż żony-anioła, uzupełnić swoję duszę do przyjemnéj i łatwiejszéj pielgrzymki żywota —

czyliż to ma być z uszczerbkiem charakteru? Nigdy! — I owszem to go podnosi i ustala.”

„Bardzo wątpię; każde sprzeciwianie się samemu sobie jest ofiarą, a ja jestem w tém położeniu. Lecz dajmy pokój tym rozprawom; — żenię się dla tego, żeby mię nie obrzucano więcej nieczułością i dziwactwem; żenię się, bo taki wasz zwyczaj.”

„Więc ty nie kochasz Ludwiki?” zapytał Adolf z wyrazem politowania i szlachetnego gniewu.

„Nie rozumiém tego wyrazu i nie wierzę w żadną miłość. Jestto cechą niedołęstwa, szukać w niewieście podstawy szczęścia, aby wygórowaném i szaloném jakiémś uczuciem zakryć przed światem próżnią swéj duszy.”

„Nieszczęsny!” zawołał Adolf. „Żałuję cię; — szkoda twéj mądrości, albowiem najlichszy robak w téj chwili zawstydziłby cię przed światem!...”

Nim się Karol zebrał na odpowiedź, już się ujrzał samotnym.

Po téj rozprawie całą noc nie spał.

II.

Nazajutrz o południu mnóstwo było pojazdów przy kościółku świętego Floryjana. Tłumy ciekawéj młodzieży, jak to zwykle przy ślubnych bywa obrzędach, oblęgały wchód i stopnie ołtarza, a w spojrzeniach zwróconych na klęczącą parę, przebijały się naprzemian zazdrość i politowanie.

Karol klęczał obok Ludwiki jak posąg z marmuru. Machinalnie powtarzał słowa kapłana; lecz gdy tenże uroczystym rzekł głosem: „I ślubuję jéj dozgonną miłość...” — zadrżał i dzikim zmierzywszy go wzrokiem nie odrzekł ani słowa.

„Jakto,” — rzekł zdziwiony kapłan — »więc pan nie ślubujesz dozgonnéj miłości?”

„Nie!” krzyknął szalonym głosem. »Kto w miłość nie wierzy, nie może jéj zaprzysięgać, — ja nie chcę być krzywoprzysięzcą!” I powstał z zimną powagą.

Z wrzaskiem pocisnął się tłum ku ołtarzowi — Ludwika leżała bez zmysłów. Nim je odzyskała, już Karola nie było. W dzikiéj i zaledwie przystępnéj ustroni biegał jak opętaniec, bił się pięściami w czoło, targał za włosy. Boleść Ludwiki, rozpacz starego jéj ojca, ciągle jak widma piekielne stawały mu przed oczyma; przeklinał swoję zlodowaciałość, żałował popełnionego występku, lecz chwilowo tylko, bo wnet rozumowanie przychodziło mu w pomoc, szepcąc nieustannie: „Dobrześ zrobił, powinieneś był tak zrobić, nie splamiłeś się krzywoprzysięztwem.” Bo trzeba wiedzieć, że Karol przy tém wszystkiém był bardzo religijny.

Tak dręczonego i zbiedzonego zaledwie burza znagliła do powrotu.

U wnijścia otrzymał list od służącego, który go już dawno oczekiwał.

Spojrzał — pot śmiertelny wystąpił mu na czoło — poznał drżącą rękę ojca Ludwiki. Bezprzytomny rozłamał pieczęć, czytał i sam swym oczom nie wierzył, czytał kilkakrotnie, pewnie coś okropnego, bo nagle pobladł i chwiejąc się padł na krzesło.

List był następujący:

„Mój panie! — Zhańbiłeś moje dziécię i moję siwą głowę. Całe miasto oburzone jego szkaradnym postępkiem i pękające z rozpaczy moje serce wkładają na mnie powinność sprawiedliwego zmazania téj hańby. Nie można to przypisać lekkomyślności, byłto krok zanadto podle wyrachowany, a zatém bez żadnych wymówek oczekuję pana jutro o świcie w mojém mieszkaniu z bronią w ręku.

Do krwawego widzenia
Tadeusz W.....”

Słowa te jak roztopiony ołów' padły mu na serce, jak pieśń grobowa odbiły mu się w duszy. Siedział jak nieżywy; zaledwie, przyłożywszy rękę do piersi, byłbyś uczuł bicie serca, bo cała żywotna siła zestrzeliła się w mózgu i okropnémi myślami rozpierała mu skronie.

Lecz na ten raz i rozumowanie go opuściło; Karol był na ostatnim szczeblu choroby ducha, — i lada okoliczność mogła sprowadzić stan przejścia albo do odrodzenia uczuć, albo niestety — do śmierci moralnéj.

Nagle się zerwał i pobiegł jak ścigany zbrodzień, nie wiedząc za czém i dokąd.

III.

»Adolfie, na miłość Boga cię zaklinam, ratuj mię, bom w rozpaczy, bom zgubiony! — Ty możesz, tyś powinien mię ratować, jeźli nie chcesz mojéj zguby. Tyś lekarzem, masz wstęp do tego domu, idź rób co chcesz, ja się zgodzę na wszystko, niech mi tylko przebaczą, niech mi Ludwika przebaczy!....”

Rzucił się na krzesło i w letargiczne zapadł dumanie.

Adolf się zebrał i wyszedł spiesznie. W blado oświéconéj komnacie leżała Ludwika z rozpłomienioném gorączką licem, bo tak nagłe wzruszenie rozprężyło wszystkie jéj nerwy. Przy łożu siedział ojciec z łzą w oku a rozpaczą na czole.

Gdy wszedł Adolf, w milczeniu podał mu rękę i bolesnym wzrokiem wskazał łoże swéj córki.

»Szanowny starcze,” — rzekł Adolf łagodnie, zrozumiawszy żądanie ojca, — na takie słabości niéma lekarstwa; jeden tylko pozostaje środek — pojednanie się z Karolem.”

Na wspomnienie tego imienia Ludwika ciężkie wydała westchnienie a ojciec ścisnąwszy pięści młodzieńczą siłą, porwał się z krzesła.

Adolf cofnął się z przerażeniem. Jeszcze nigdy nie widział starca w tak strasznéj postawie; oko jego iskrzącym strzeliło gniewem, a wszystkie mu-

szkuły tak były naprężone, iż się zdało, że za lada chwilą krew w nich ściśnięta, strumieniem wytryśnie.

„Pojednanie, mówisz doktorze!” krzyknął z szyderczym uśmiechem. »Pojednanie z zabójcą méj sławy? — Jesteś w obłąkaniu, doktorze, albo nie wiész, co godność człowieka. Ja mam pojednać się z tym,” — dodał po chwili boleśnie — „który moje dziecię potrącił na łoże boleści, z tym, co mi zatruł ostatnie chwile życia, a moję siwą głowę podał na pośmiewisko i urąganie, że lada ulicznik wytknie mię palcem; — nie doktorze, wiém, że inaczéj myślisz, niż mówisz.”

W oczach łzy mu stanęły.

„Starcze — a gdyby winowajca upokorzył się i błagał was o przebaczenie, czyż i wtedy nie podałbyś mu ręki na zgodę.”

„Przenigdy!” zawołał pan Tadeusz stanowczym głosem. „Upokorzenie nie uwalnia od winy”

Ludwika westchnęła.

„A więc wszystko daremne!” rzekł lekarz zawiedziony. »Lecz jeszcze słowo do ciebie, panno Ludwiko;” — dodał obracając się do choréj — „jako, czy i pani nie przebaczysz Karolowi? O, jeżli go kochasz, przebacz mu, bo on bardzo nieszczęśliwy!”

„Poczciwy panie Adolfie,” — rzekła chora cichym głosem, ściskając rękę lekarza — „dziękuję panu w imieniu mojéj i Karola spokojności. Powiedz mu pan, że go o nic nie obwiniam, że mu niémam nic do przebaczenia, że... go... zawsze.... o Boże! czemuż... on... mię... tak... nie... kocha!...”

Osłabienie zaparło jéj oddech. Lekarz spojrzał na ojca, — był blady i pomieszany.

„Starcze, wszak słyszałeś;” — przemówił uroczyście — „pragnieszże zguby twojego dziecięcia?”

„Stało się, doktorze!” rzekł poważnie pan Tadeusz. „Bogiem się świadczę, wolę ją widzieć w trunnie niż w objęciu podłego. Żegnam pana, lecz słowo honoru,” — dodał szeptając prawie — „że o jutrzejszém zejściu się zamilczysz przed córką.”

Adolf ścisnął rękę na zapewnienie i odszedł w milczeniu.

Powróciwszy zastał Karola w téj samej jeszcze postawie. Zdało się, że usnął pod ciężarem cierpienia, aby wydobywające się z popiołów rozumu uczucia tém swobodniéj zajmowały dawne swe puste mieszkanie.

Potrącony lekko w ramię, spojrzał na Adolfa łzawém okiem, lecz jakgdyby odgadł smutną treść poselstwa, znowu twarz dłońmi zatulił.

»Biedny Karolu, wszystko napróżno, starzec nieprzebłagany!”

„Spodziéwałem się tego;” — odrzekł boleśnie — »a Ludwika?” dodał nieco żywiéj i wlepił weń ciekawe spojrzenie.

Adolf ścisnął mu rękę.

„Z téj strony bądź spokojny; Ludwika płakała za tobą.”

»O, aniele dobroci! Z twych łez zabłyska mi jaśniejsza nadzieja! Dzięki ci Adolfie, dzięki, jestem pocieszony.”

I przyjacielskie serca uwzajemniły się w tkliwym uścisku.

IV.

Dzień następny zajaśniał całym blaskiem przyrody. Słońce wstało w całym swym majestacie, a Karol z sercem pełnem świeżych uczuć i nadziei. W duszy jego odbywał się tryjumf uczucia.

„Da Bóg, wszystko dobrze się skończy;” pomyślał i udał się na przeznaczone miejsce.

Zastał tam już Adolfa.

Pan Tadeusz przywitał go pogardliwym wzrokiem i podał broń.

Karol nie stracił przytomności, zbliżył się do starca i chciał go ująć za rękę...

Pan Tadeusz potrącił go nogą.

„Ha!” krzyknął Karol, zgrzytnąwszy gniewem z tego zhańbienia. „Kiedy tak, więc służę panu; lecz biada ci starcze, jeżli w téj chwili krew niewinna popłynie.”

Porwał za broń i stanął. Zmierzyli się; szczęk brzeszczotu głucho obił się o ściany.

Nagle otwarły się podwoje — z śmiertelną trwogą i osłupiałym wzrokiem wbiegła Ludwika i rzuciła się między ostrza. Posłyszany głos Karola gwałtowną natchnął ją siłą.

Karol rzucił broń na ziemię, i poskoczył ku niéj; — lecz chora w téj chwili padła bez przytomności. Pospieszono na pomoc — sam tylko ojciec stał nieporuszony, siny z boleści i zaciekłego gniewu.

„Daléj, podły zabójco dziecięcia mego!” krzyknął rozpaczliwym głosem. „Stawaj, albo pierś haniebną na wskrós ci przebiję, aby krwią twoją zmyć hańbę z jéj czoła!...”

I rzucił się ku niemu.

W téj chwili nadnaturalną ożywiona siłą porwała się Ludwika; — cios wymierzony z ręki starca ugodził w samo serce... nieszczęśliwą córkę.

Jęk okropny rozległ się po komnacie; w kilku chwilach skonała Ludwika na ręku Karola.

Ojciec pół martwy do jéj stóp się potoczył, a Karol ścisnąwszy konwulsyjnie trupa, dawszy mu bolesny rozstania całunek, w rozpaczy opuścił komnatę.

Adolf łzą go pożegnał.

* * *

Po dziesięciu latach przypadek zaniósł mię do wioski Karola. Zastałem go trzymającego żwawego synka na kolanach obok pięknéj i nader przyjemnéj żony. Był blady i często wpadał w głębokie zadumanie, lecz przytém był przykładnym mężem i najlepszym ojcem.

Tu dowiedziałem się o całem tem okropnem zdarzeniu, oraz także, że Karol ciągle dotąd obchodził bolesną jego rocznicę, błagając Boga o przebaczenie winy, oraz dziękując, że mu w dniu tym dał poznać święte źródło miłości, że go czuć i kochać nauczył. *Fr. Wal.......*

Poeta Racan i panna Gournay.

Przez Aleks. Dumas.

Za czasów Ludwika XIVgo żyła w Paryżu pewna stara panna, imieniem Maryja le Jars de Gournay, która jeszcze w r. 1565 na świat przyszła, a zatém wtedy już około 70 lat miała. W 19m roku życia, przeczytawszy po raz pierwszy sławne „*Essais*” Montaigne'a, uczuła najżywszą chęć poznania tego autora. Skoro Montaigne raz do Paryża przybył, pospieszyła panna Gournay złożyć mu swoje uszanowanie, a wnet zawiązała się tak ścisła przyjaźń pomiędzy niemi, iż ona go zawsze „ojcem”, on ją zaś nie inaczéj jak tylko „moja córko” zwykł był nazywać. Póżniéj napisała ona książkę pod nazwą „Cień panny de Gournay” — która o tyle niejakie wrażenie sprawiła, o ile całkiem w stylu owego czasu pisana była, i co do przesady i wymuszoności, żadnéj innéj nie ustępowała. Malherbes zkrytykował ją bardzo ostro, zaco panna autorka tego znakomitego pisarza równie serdecznie niecierpiała, jak przeciwnie wielu innych autorów bez granic wielbiła i poważała. Stosując się do zwyczaju tamtego wieku, porozsyłała ona wszystkim głośniejszym literatom egzemplarze swojego dzieła, a jeden z tych dostał się także panu Racan. Tak uprzedzający hołd znakomitéj damy zachwycił niewymownie poetę, i natychmiast téż otrzymaną książkę z radością dwóm właśnie u siebie będącym przyjaciołom, panom de Bueil i Ivrande, pokazał, dodając, iż nazajutrz po południu o 3ciéj godzinie swojéj wielbicielce wzajemne złoży uszanowanie i za ten pochlebny dar jéj podziękuje. Przyjaciele jego, chcąc się raz kosztem poety wyśmienicie ubawić, umówili pomiędzy sobą małą krotofilę.

Nazajutrz o pierwszéj godzinie z południa, udał się pan de Bueil do mieszkania panny Gournay i zapukał. Pokojowa otworzyła, a wywiedziawszy się o zamiarze nieznajomego gościa, poszła oznajmić go swojéj pani.

„Cóżto za pan?” spytała panna Gournay.

„On sam nazwisko swoje chce pani wymienić.”

„Jakże wygląda?”

„Jestto przystojny mężczyzna, mający może 30 albo 35 lat, i należy, jak się zdaje, do wyższego towarzystwa.”

„Proś go. Wprawdzie, właśnie mi się tu nowy trafny pomysł nawinął, lecz on może jeszcze wrócić, a ten przystojny mężczyzna, kto wie, czy wróci?”

Zaledwie tych słów domówiła, wszedł pan de Bueil.

Panna Gournay zagaiła rozmowę: „Pozwoliłam panu wejść, nie wiedząc jego nazwiska, gdyż myślałam, iż się na to odważyć mogę; wszakże teraz proszę pana nie zamilczać mi dłużéj jak się nazywasz. Z kimże mam honor...?”

„Jestem Racan.”

Panna de Gournay nie znała poety osobiście, lecz jedynie z pism jego. Uszczęśliwiona więc tym niespodzianym zaszczytem, zaczęła najuprzejmniéj dziękować, iż tak piękny i tak młody jeszcze kawaler ją, któréj wiosna oddawna już przekwitła, przyjemnością odwidzin swoich raczył obdarzyć. Obrotny i ugrzeczniony kawaler umiał staréj pannie tyle uprzejmych słówek nagadać, iż się nie posiadała z radości i co chwila na swoję pokojowę wołała, aby uspokoiła kota, który w przyległym pokoju nieznośnie miauczał i rozmowę przerywał. Zalotny pan de Bueil bawił przez całe trzy kwadranse, nagadał jéj uprzejmości bez końca i pozyskał jéj całe zaufanie. Po jego odejściu oświadczyła panna Gournay, iż nigdy przyjemniejszéj chwili w życiu nie spędziła, i że niczego bardziéj nie pragnie, jak rychłego powtórzenia odwidzin pana Racan.

Poczém usiadła znowuż do przerwanéj umysłowéj pracy, lecz nim jeszcze ów przybyciem pana Racan spłoszony pomysł odszukać mogła, oznajmiono jéj drugą wizytę i wszedł pan Ivrande, mówiąc: „Jestto wprawdzie nieskromnie z mojéj strony, szanowna pani, przeszkadzać ci w twoich zatrudnieniach umysłowych i studyjach głębokich; wszakże jesteś jenijalną kobietą, a te nie potrzebują zbyt lękliwie przyjętych form konweniencyi się trzymać.”

Panna de Gournay odpowiedziała: „Wyrażenie się bardzo trafne! Zapiszę je sobie w moim dzienniku. Lecz cóżto sprawia mi tę przyjemność, widzenia cię, panie, u siebie?”

„Mam sobie za święty obowiązek podziękować pani najczuléj za honor, jakiś mi nadesłaniem swego niezrównanego dzieła wyświadczyła.”

„Ja, panu, nadesłaniem mojego dzieła.... Nie przypominam sobie... Wszelako, na każdy wypadek, nie powinnam była tego zaniechać, i chętnie to natychmiast wynagrodzę. Jasmin! Przynieśno jeden „Cień mój” dla tego uprzejmego kawalera.”

„Rzecz zbyteczna, łaskawa pani, gdyż istotnie jużem go otrzymał i z wielkiém uwielbieniem rzadkiego talentu pani, przeczytał.” — Jakoż dla przekonania panny Gournay wygłosił Ivrande kilkanaście wierszów z pomienionego dzieła, co autorce nadzwyczaj pochlebiło. Zaczém ozwała się uprzejmie do niego:

„Zapewne i pan jesteś poetą, skoro cudze wiersze oceniać umiesz, i takowe nawet pamięci swojéj oddajesz. Jestem przekonaną, żeś sam wybornym

poetą, i pałam niecierpliwością, dowiedzenia się o twojém nazwisku.»

„Oto są niektóre z moich wierszów, gdyż jestem także Muz zwolennikiem, chociaż nie tyle przez nie obdarzonym, co ty pani.»

To mówiąc, podał jéj kartkę papieru, na któréj było kilka wierszy napisanych. Ledwie stara panna je przeczytała, już zdziwiona natychmiast odrzekła: »Wszakże te piękne wiersze są pióra pana Racan.»

„Nie inaczéj, a tym Racan nie jest kto inny, tylko ja sam, który tu stoję przed panią i mam honor wynurzyć jéj wyraz mojego najgłębszego uwielbienia.»

„Chcesz sobie pan zapewne ze mnie żartować, albo w istocie nie pojmuję...»

„Ja żartować sobie z pani! z tak znakomitéj, jenijalnéj damy, która poważania najświatlejszych mężów swojego czasu doznaje, którą wielki Montaigne „córką» nazywa, o któréj Lipsiusz mówi: »Patrzcie jak pięknémi płody ta spaniała Muza nas obdarza!» a młodszy Heinziusz: »Jestto kobiéta-bohatérka, która walczy z mężami i zwycięzko ich pokonywa!» — i z takiéj damy miałbym ja sobie żartować! Byłobyto zaiste zbrodnią przeciw naturze ludzkiéj i grzéchem przeciw jenijuszowi.»

„Pięknie,— bardzo pięknie pan mówisz!» odpowiedziała panna Gournay, nad wszelki wyraz rozrzewniona i uradowana. „Przecież jeden z was obu żart sobie ze mnie zrobił, albo pan sam, albo poprzednik pański. Wszakże mniejsza o to: nie piérwszyto raz młodość kosztem starości się zabawia; a zresztą nie powinnam w saméj istocie żałować, żem dwóch tak uprzejmych i dowcipnych młodych ludzi poznała.»

Lecz Ivrande nie był tém wcale zadowolony, ale owszem wszelkiéj wymowy dokładał, aby pannę Gournay przekonać, iż tylko on a nie kto inny jest prawdziwym poetą Racan, i żeto jego poprzednik tak niedorzecznego żartu się dopuścił. I powiodło mu się téż nareszcie upewnić starą pannę najzupełniéj co do tożsamości osoby, a po trzech kwadransach, śród wzajemnych słodkich oświadczeń, skończyły się odwidziny ku obopólnemu zadowoleniu.

Wnet po odejściu Ivranda uderzyła trzecia godzina i nadszedł prawdziwy Racan. Był on nieco opasły, a łażenie po schodach wielce go utrudzało; zatém znużony i zadyszany rzucił się na sofę w piérwszym pokoju, i czekał aż się wysapie.

Tymczasem panna Gournay puściła się znowuż w pogoń za ową zgubioną piękną myślą i tak się w niej zatopiła, iż ani oznajmienia ani wnijścia nowego gościa nie uważała. Nagle, obróciwszy się w tył przypadkiem, postrzegła nieznajomą osobę, która podobna do jakiego rubasznego hreczkosieja, pot z czoła sobie ociérała. Panna de Gournay skinęła na pokojowę, a obiedwie nie mogły wstrzymać się od śmiéchu na widok tego małego grubego człowieka, który jeszcze bardziéj wesołość ich powiększył, gdy zaczął mówić, zwłaszcza że nieborak jąkał się przeciągle, a przytém ani głoski r ani ż wymówić nie mógł. Długo więc trwało, zanim się poniekąd wytłumaczył, oświadczając, iż ma krótki oddech i nie lubi łazić po schodach. Panna de Gournay zapytała wreszcie, z kim mówi, i w czém mu usłużyć może?

Nato rozpoczął Racan, jąkając się i ciągle owe dwie głoski wypuszczając, długą mowę, która w saméj rzeczy równie dziwaczną jak nudną była, i cierpliwość staréj panny na ciężką próbę wystawiła. Zapytany o imię, odpowiedział Racan, iż się nazywa »Latan»— a panna de Gournay musiała mu odpowiedzieć: »Ani nazwiska pańskiego nie znam, ani mowy twéj nie rozumiém; zatém proszę pana napisać swoje nazwisko na téj kartce. Przecież umiész pisać?»

„Czy umiém pisać! Prawdziwie, śmiać się muszę na to pytanie. Cała Francyja czyta i podziwia moje pisma, a jażbym nie miał umiéć pisać. Proszę o kartkę — a teraz czytaj pani moje nazwisko.»

„Jakto, pan się Racan nazywasz! Ha, to za wiele! Jesteś pan niedorzecznym trefnisiem, którego bezczelność mię zdumiewa. Tamci dwaj byli przynajmniéj ładni i młodzi, i można im było grzeczny żarcik wybaczyć, lecz pan — nie, to za wiele! Proszę pana, opuścić mię natychmiast!»

Takiego obrotu rzeczy nie spodziéwał się wielki Racan. Był on mocno zmieszany, lecz wkrótce pomiarkował, iż tu jakieś nieporozumienie zachodzi, i że mu ktoś figla wypłatać musiał. Cóż miał począć? Na szczęście postrzegł na stole jeden ze swoich utworów poetycznych, wziął szybko książkę do ręki, i ozwał się do panny de Gournay:

„Oto przekonam panią iż jestem prawdziwym poetą Racan. Słuchaj pani, a wygłoszę jéj całą książkę od deski do deski. Czegoż pani więcéj żądasz?»

Ale panna Gournay nie dała sobie ani o téj próbie ani o jakiémkolwiek innem polubownem zagodzeniu téj sprawy wspomnieć. Twarz jéj pałała gniewem, a z ust jéj zabrzmiały groźne słowa:

„Jesteś pan bezczelnym! Odejdź natychmiast, lub wezwę pomocy i każę cię za drzwi wyrzucić!»

Tu Racan uznał, iż wszelkie dalsze tłumaczenie się jest nadaremne; przeto wziął kapelusz i laskę, i wyszedł gniewnie z domu, gdzie wcale inne przyjęcie znalazł, niż się spodziéwał.

Jeszcze tego samego dnia dowiedziała się panna de Gournay o całéj tajemnicy, i była niepocieszoną iż właśnie prawdziwego Racan'a tak niegrzecznie przyjęła. Dla naprawienia swojéj pomyłki pojechała nazajutrz sama do domu pana de Bellegarde, gdzie Racan mieszkał.

Poeta był jeszcze w łóżku; lecz nasza literatka

spieszyła się tak mocno przeprosić swego wielbionego kolegę, iż na nic nie zważając, śmiało do izby weszła i zasłonę u łóżka odsunęła. Racan przestraszył się na widok złéj panny Gournay, wyskoczył z łóżka i uciekł do przybocznego gabinetu. Ztamtąd dopiéro, przedzielony zamkniętémi drzwiami od swojéj mniemanéj nieprzyjaciółki, zaczął z nią wchodzić w układy, lecz dowiedziawszy się, iż ona nie dla nowego łajania go, lecz owszem w przeprosiny za wczorajszy wypadek przyszła, udobruchał się wreszcie, i żałował tylko, że nie jest ubranym, aby przyzwoicie z wielbicielką swoją mógł rozmawiać.

Odtąd pan Racan i panna de Gournay żyli w najlepszéj z sobą przyjaźni i często się sami z téj psoty śmieli.

Możliwość. Możebność.

Co samo przez się środkiem swoim wszcząć się i siłą swoją zdoskonalić, i, jako już ukończone, objawić może; to ma w sobie możliwość rozmogi konieczněj; np. ziarno rozmaga się, idzie w roślinę, w kwiat, w owoc. Ale że się może zdarzyć, iż ziarno nie wzejdzie, lub kwiat nie da owocu: to jest możebne; bo to może stać się lub niestać, może bydź lub nie bydź. Co wypełnia ogólną regułę przeznaczenia, to stać się musi, bo to jest konieczne, i ma po temu *możliwe* siły i środki w sobie. Co się zdarza, jest wyjątkiem od ogólnéj reguły konieczności, ale ma szczególną konieczność swoję, podług któréj stać się musi; bo nic się nie dzieje bez przyczyny, wszystko jest uwarunkowane przyczynnością. Co się zdarza, ma swój dar, t. j. środek, ma swoję własność szczególną; ale nie może się zdarzyć za kołem, tylko w kole ogólnéj konieczności; a co się na pozór zdaje być szczególnym wypadkiem, idzie częstokroć z ogólnéj przyczynności. Wszelki przypadek jest możebny, bo się zdarza; ale on nie jest ogólną koniecznością ani przeznaczeniem. Aerolit np. — kamień z powietrza — kiedy spadnie i człowieka ubije, jest przypadkiem i trafem, a możem to nawet mieć w moralném słowie: za Dopust boży; ale tylko względem człowieka, nie zaś co do kamienia: bo on stał się i zdarzył jako szczegół z ogółu, podług reguły konieczności; bo w nim była możliwość szczególna, z możliwości ogólnéj, siła z siły *) Zdarzenie, przypadek, los, traf: to wszystko jest możebne; bo może się zdarzyć i nie zdarzyć; ale gdy się zdarzy, już ma jakąś i przyczynę po sobie. — Wszystko *możebne*, może bydź dla człowieka szczęsne lub nieszczęsne, szczęśliwe lub nieszczęśliwe; piérwsze, przez możność zewnętrzną, okazaną, drugie przez możliwość wewnętrzną, w uczuciu. Można mieć szczęście, a być nieszczęśliwym, i można być szczęśliwym a nie mieć szczęścia: to rzecz możebna. Jednakże, co nam być przypadkiem się zdaje, to może bydź wynikiem z szyku i z zrządzenia głębokiej przyczynności; jakto Szyller w Wallensztajnie mówi:

»Przypadek czcza mowa.
Co w pozór trafem, niby z ślepych szyków,
To właśnie zdroi z najgłębszych poników.«

i. n. k.

*) Możliwość — Vermögenheit. Możebność — Möglichkeit. Przyczynność — Bedingtheit. Zdarzenie — Er-eigniss — eigene Noth-wendigkeit — szczegółowa konieczność. Przeznaczenie, praedistinatio — Vor-bestimmung. Dopust — Zulassung, Verhängniss von oben — Zesłanie pańskie — Schickung. Fügung.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 22ty i zawiéra: 1) Słowo o ugorach. 2) Wpływ powietrza na zdrowie źwiérząt. 3) O tuczeniu i wędzeniu gęsi. 4) Machina rachunkowa, wynalazku Staffla. 5) O soleniu słoniny. 6) Surogat mydła. 7) Ogłoszenie przedpłaty na dzieło K. J. Turowskiego: »Zastosowana Nauka Rolnictwa.« 8) Wiadomości handlowe. 9) Uwiadomienia o posadach.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 12ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Laura i doktor Howe. Dokończenie. 2) Kłopot literacki. Przez M. S. 3) Teatr.

Témi dniami wyszło z druku wydane przez Wincentego Junoszę Łempickiego dziełko, pod nazwą: *»Leczenie wścieklizny, podług najnowszego, przez Wysoki Rząd do próbowania zaleconego sposobu,«* z ryciną, wyobrażającą w naturalnéj wielkości i właściwych kolorach roślinę, któréj się do leczenia wścieklizny u ludzi jak i u źwiérząt, ze skutkiem używa. Cena jednego egzemplarza 1 złr. mon. konw. Sprzedawane będzie w księgarni p. Winiarza w rynku, i u wydawcy pod nrem. 563 4/4. — Ponieważ podług treści tego dziełka, zaraz w piérwszym początku czynionych prób, tym środkiem wyratowano 20 osób od najokropniejszéj śmierci, a między témi wiele takich, u których wścieklizna i wstręt od wody, już były najwyższego doszły stopnia; przeto życzyćby należało: aby się nietylko o to w swoim rodzaju dopiéro piérwsze tak powszechnie potrzebne i upragnione dziełko, lecz także i o rozmnożenie i upowszechnienie téj tak zbawiennéj rośliny, ogólnie postarać nie zaniedbano.

Trucizna w wodach mineralnych. W niektórych źródłach mineralnych, mianowicie takich, które części żelazne zawiérają, a o których przedtém nic podobnego się nie domniemywano, odkryto teraz arszenik. Znajduje on się tam tak ściśle i tajemnie z innémi częściami składowémi połączony, iż zwykłém dotychczasowém rozbiéraniem chemiczném, nie można było go dostrzedz. To zatrważające odkrycie tycze się dotąd jedynie kilku mineralnych źródeł w Niemczech; wszakże należy się obawiać, iż ono i przy wszystkich innych podobnych źródłach się potwierdzi.

Cywilizacyja i barbarzyństwo. Pewien podróżnik opowiada, iż Indyjanie pokolenia Creeks niedawno ogłosili ustawę, mocą któréj każdy biały czło-

wiek, przekonany o granie w karty, ma być z okręgu pokolenia wygnanym, chociażby Indyjankę miał za żonę. — Takąto więc ustawę dali sobie barbarzyńscy Indyjanie, którzy podług naszych wyobrażeń, we wszystkiém nas Europejczyków naśladować powinni. W cóżby jednak u nas niejedno towarzystwo się obróciło, gdyby grę w karty zakazano; cóżby natenczas począł niejeden próżniak, którego największém szczęściem jest, przez 3—4 godziny w brudnéj, dymnéj kawiarni grze w karty — przypatrywać się! Opisano już »Zarazę gorzałczaną« — czemuż kto nie opisze zarazy, choroby, wistowéj — tarokowéj — piketowéj — preferansowéj!

Samochwalstwo rzecz nie nowa. W odpowiedź powszechnemu mniemaniu, jakoby panujące teraz publiczne, a mianowicie dziennikarskie, przechwalanie się autorów, artystów i t. d. wynalazkiem naszych czasów być miało; niech posłuży ustęp z listu Cycerona do uczonego senatora Luceja: »Pałam niepohamowaną, lecz mojém zdaniem, wcale nienaganną żądzą zasłynienia w blasku niezrównanych pism twoich. Wiém ja wprawdzie, jak to z mojéj strony jest nieskromnie, wymagać po tobie, abyś przy swoich rozlicznych zatrudnieniach, miał się jeszcze obsypowaniem mię pochwałami zajmować; zwłaszcza iżbym ci się mógł tych pochwał godnym nie wydać. Wszakże kto raz granicę skromności przekroczy, ten już śmiało i w dal iść może. Zatém proszę cię raz na zawsze, abyś przy każdéj okoliczności starannie mię upiększał (chociażby nawet cokolwiek nad twoje słuszne mniemanie o mnie), i abyś w osądzeniu moich zasług raczéj twojéj ku mnie przychylności, aniżeli prawdzie kierować sobą dozwolił.« — Widzimy tedy, iż pan Cycero znał się równie dobrze na zachęcaniu swoich przyjaciół do chwalenia go, jak którykolwiek z tegoczesnych bohatérów scenicznych. Nic nową więc rzeczą jest samochwalstwo. Nową jednak i wyłączną zasługą naszych czasów jest owszem bezwarunkowa nagana, zarozumiałe potępianie wszystkiego, co się nam nie podoba, jadowite czernienie wszelkiéj powagi, która się nam sprzeciwia, wszelkiéj chwały, która nas w oczy kole.

Handel jajami we Francyi nabył nadzwyczajnéj rozległości. W roku 1813m wywieziono — po większéj części do Anglii — 1 milijon 700.000 sztuk jaj, a od tego czasu aż do roku 1844go podniosła się tu liczba do 83 milijonów 200.000. Z tych wyszło do Anglii przeszło 82 milijonów i wniosło do skarbu publicznego za same cło, 114.000 franków. Oprócz tego zbywa się coroku w saméj stolicy około 120 milijonów, a konsumcyja jaj w całém królestwie może być policzona bez przesady na 9 milijardów 300 milijonów sztuk, mających ogólnéj wartości na kilkaset milijonów franków.

Niezwyczajny zégar. P. Antoni Bronnenmayer, urzędnik w Bernie, ma cylindrowy zégar wodny bez żadnych kółek, poruszany jedynie wodą, szczelnie zamkniętą w małéj puszce mosiężnéj. Patrząc na ten zégar, nie widzimy nic więcéj, jak tylko bardzo pojedynczą puszkę, na dwóch strunach zawieszoną, i cyferblat, połączony z puszką cylindrem, przechodzącym przez puszkę. Zdjąwszy cyferblat, co bardzo łatwo się dzieje, oile że takowy wolno do puszki przylega, nie widać nic innego, jak tylko zwyczajną puszkę z wodą, mającą 4 1/2 cala wysokości i tyleż szérokości, a dwa cale grubości; żelazny cylinder, który przeprowadzony jest przez puszkę, ma 5 cali długości, cyferblat 6 cali średnicy, a skazówka mosiężna 4 cali długości. Drewniana figura, przedstawiająca Saturna z zwykłémi jego godłami, lecz żadnego zresztą organicznego związku z zégarem nie mająca, trzyma puszkę, zawieszoną na dwóch strunach w powietrzu. Nakręca się ten zégarek z dołu, przez obwinienie strun wkoło żelaznego cylindru w puszce, przyczém słychać wyraźnie pluskanie i przeciekanie wody pomiędzy przedziałkami wewnątrz puszki. Godziny pokazuje ten zégar przez bardzo powolne obracanie się mosiężnéj puszki, w skutek przelewania się w niéj wody. Skazówka zostaje nieruchoma na jedném miejscu, lecz obracająca się powoli puszka obraca nieznacznie cyferblat, wiszący także wolno między dwoma żelaznémi blaszkami, przymocowanémi do cylindru. Nakręca się ten zégar codziennie, gdyż zwyczajne struny nie są dość długie; gdyby jednak mogły mieć kilka sążni długości, natenczas byłoby dość nakręcać zégar raz w tydzień, a nawet jeszcze rzadziéj. Zégar ten jest zabytkiem dawniejszych czasów i pochodzi z byłego niegdyś klasztoru Jezuitów w Bernie.

Herbata i opijum stały się w ostatnich czasach osobliwie tém pamiętne, iż dały powód do ważnych zdarzeń świata. Historyja tych obudwóch roślin przedstawia ciekawe przeciwieństwa. O ile herbata rozbudza, ożywia, sen odpędza, o tyle opijum uspokaja, usypia, rozmarza, lecz niekiedy zagłusza i upaja, a po dłuższém używaniu, zabija. Napój z maku był już od najdawniejszych czasów znany; z herbatą zapoznały nas daleko późniéj dwa najprozaiczniejsze narody, to jest: Chińczykowie i Holendrzy. Tamci znali herbatę od wieków, lecz dopiéro Holendrzy przywieźli ją na początku 17go wieku do Europy, zachwalając ją jako powszechne lekarstwo na wszystkie cierpienia, przeco też nadzwyczajnie drogo ją sprzedawali. Jeżli Europa namiętnie w herbacie chińskiéj się rozmiłowała, tedy Chiny jeszcze namiętniéj w opijum się rozkochały. Dzięki herbacie, za którą Europa dostateczną ilością własnych towarów Chińczykom odpłacać się nie mogła, zagartywały Chiny niepoliczone gotowe sumy srebra i złota europejskiego, aż wreszcie pojawiło się opijum, i mszcząc się za Europę na Chinach, zaczęło corocznie ogromne skarby z niebieskiego państwa nazad do Europy sprowadzać. Obiedwie rośliny wywołały, jak powiedziano, głośne w dziejach wypadki. Powszechnie wiadomo, iż początek bytu teraźniejszych Zjednoczonych stanów północnéj Ameryki ztąd wyszedł, że dawne kolonije angielskie nałożonego na wprowadzoną do nich herbatę cła, opłacać nie chciały, z czego powstała wojna, która wreszcie niepodległość zjednoczonych kolonij upewniła. Byłto bolesny cios, jaki chińska herbata angielskiemu państwu zadała. Dla wynagrodzenia téj straty, zaczęła Anglija wprowadzać opijum do Chin, a ztąd wszczęła się druga, ostatniemi czasy zwycięzko dla Anglii toczona wojna, która mur chiński obaliła, porty chińskie dla okrętów europejskich otworzyła, a może i chrześcijaństwu drogę utorowała. — Lecz tażsama trucizna, jaką Anglicy Chińczykom narzucili, trawi też wnętrzności ich własnego narodu. Przy badaniach nad stanem wyrobników fabrycznych, okazało się, iż wyrobnice swoim dzieciom, dla uspokojenia ich na czas pracy, pewien rodzaj opijatu zadają. Przez to tysiące biednych dzieci przedwcześnie umiéra, albo na całe życie marnieje.

Człowiek strzéla, a los kule nosi. Twierdzenie pana Arago, iż »zanim jedna karabinowa kula ugodzi, wprzód tyle ołowiu, co cały człowiek waży, nadaremnie wystrzélanem bywa«, brzmi wprawdzie nieco przesadnie; ztémwszystkiem następujący wypadek popiéra to twierdzenie. W utarczce pod Salzburg,

zaszłej po bitwie pod Hohenlinden w r. 1800, ustawiła się była artyleryja austryjacka na tak zwaném polu Walser, za kilką domami włościańskiémi, zkąd mogła razić Francuzów, będąc od nich przez owe zabudowania ochronioną. Zaraz w początkach utarczki chcieli mieszkańcy jednego z tych kilku domów, to jest gospodarz z żoną, sześciorgiem dzieci i sługą, uciec dla bezpieczeństwa do piwnicy. Lecz to właśnie omało że ich o zgubę nie przywiodło, gdyż dowodzący ze strony nieprzyjacielskiej pułkownik francuzki Ducheron, postrzegłszy, iż owe domy za ochronę Austryjakom służą, kazał je natychmiast rozburzyć, co téż w istocie uskuteczniono. Zaczém schronieni w piwnicy ludzie musieli koniecznie wyjść z domu; lecz zaledwie zpomiędzy gruzów się wydobyli, gdy naraz w jeszcze większe niebezpieczeństwo popadli i niespodzianie w sam środek pomiędzy obadwa ognie nieprzyjacielskie się dostali. I tam więc, w otwartém polu, bez najmniejszéj ochrony, mimo najrzęsistszego gradu kul, tych 8 osób ocalało, nie będąc ani od jednéj kuli draśniętémi.

Kreolczykowie i Mulaci. W Europie mniemają powszechnie, iż z nazwą »Kreolczyk« łączy się pewne wyobrażenie barwy. Atoli rzecz ma się inaczéj. Kreolczykami nazywają w Ameryce tych wszystkich, którzy pochodzą z rodziców dawnego świata, bez różnicy czyto z rodziców europejskich czy afrykańskich. Są tedy równie czarni jak i biali Kreolczykowie. Najwłaściwszém znamieniem są włosy u kobiet, gdyż te nigdy nie zwodzą, podczas gdy barwa płci nieraz w zupełnéj jest sprzeczności z pochodzeniem. Bywają bowiem Mulatki o białéj jak śnieg płci, a co do regularności rysów, najpiękniejszym Europejkom nie ustępujące, którym jednakże ich krótkie, wełniste, ledwie kilka cali długości mające włosy, za niepozbyty obmierzły rodowód służą.

Grzeczne ptaki. Angielski kapitan Clark Kennedy wydał »Opis Algieru«, w którym szczególnie z historyją naturalną Algieryi, a przytém i z ptactwem algierskiém nas oznajamia. »Do najpiękniejszych ptaków w Algieryi« — mówi Kennedy — »należą czaple numidzkie, które Francuzi »*Demoiselles*« nazywają. Nie ma nic ciekawszego nad zalecanki tych ptaków na wiosnę, kiedy one dla złożenia sobie wzajemnych hołdów się zejdą. Stają one natenczas w niejakiéj odległości od siebie jakhy do tańca, i zaczynają się jedna drugiéj poważnie kłaniać; potém następuje formalny, podług wszelkich przepisów tańczony menuet, przy którym obadwa ptaki z zwieszonémi skrzydłami i z wdzięczném zagięciem głowy to w przód to w zad postępują i zlekka wokoło siebie toczą. Patrząc na ten taniec, zdaje się nam, iż widzimy młode panienki popisujące się przed tancmistrzem. Ztądto otrzymały te ptaki swoję nazwę francuzką.«

Mieszanie obcych wyrazów, na które i u nas oddawna się uskarzają, zagęszcza się teraz i w języku francuzkim, grożąc powszechném przyćmieniem dawnéj klasycznéj mowy Kornelów i Rasynów. Obce wyrazy jak *burszenszaft, zollverein, cornlaw* bywają codziennie w dziennikach powtarzane; klub dżokejów używa bez wahania się wyrazów technicznych swoich angielskich kolegów, jak np. *turf, steeple-chase* i t. d. Najbardziéj jednak lubuje szkoła romantyczna w upstrzaniu swego kolorytu wyrażeniami niemieckiémi. Już Victor Hugo zaprowadził *burggrav*'ów. Ostatniémi czasy feuilletoniści romantyczni dziennika »*L'Epoque*« nanowo ten przewrotny smak rozbudzili, z czego »*Charivari*« w satyrycznym, podług manijery owego pisma ułożonym romansie tak się naśmiewa: »Wiatr szumi *dans les arbres du wald,* przez który *le reiter* pędzi, bodząc ostrogami *son pferd.* Spieszy się przybyć w locie *au schloss.* Jestto godzina duchów, w któréj *les Elfes* zaczynają *leur walpurgisnacht.* Ale to, co on za *un bourg* miał, jest tylko *un dorf.* Puka. *Justement cette haus était un gasthof.* Wchodzi i postrzega dwóch ludzi wyglądających *comme des landmanns;* bylito jednak *un herzog et un graf* i t. d.«

Beranger umarł. Pewien podróżujący był w Paryżu świadkiem następującéj ulicznéj sceny między jakimś przechodzącym mieszczaninem a przekupniem gminnych spiewek paryzkich: »Kupcie Smierć Berangera! Kupcie Śmierć Berangera!« wołał przekupień. — *Mieszczanin.* »Kiedyżto Beranger umarł?« — *Przekupień.* »Wczoraj wieczór.« — *Mieszczanin.* »Niepodobna! Widziałem go wczoraj rano zdrowego, a dziś piszą w gazetach, iż się przeprowadził.« — *Przekupień.* »Otóż widzisz pan, przeprowadził się — ale niestety, na cmentarz. Proszę mi wierzyć!« — *Mieszczanin.* Co za strata!« To mówiąc kupił spiewkę. — *Przekupień* (wołając za mieszczaninem). »Ale pamiętaj pan, nie powiadać panu Berangerowi o tém, iż umarł — jeżelibyś z nim się zeszedł przypadkiem!« — To rzekłszy, zniknął w ulicy.

Dziwujże tu się, iż tak mało pieniędzy pomiędzy ludźmi! Z ostatniego obliczenia się rodziny Rotszyldów miało się okazać, iż olbrzymi ich majątek w ciągu jedynego zeszłego roku o 117 milijonów franków się pomnożył. Przybytek zaś 117stu milijonów w kasie Rotszyldów, znaczy ubytek 117stu milijonów z kieszeni wszystkich chudych-pachołków w Europie, a 117 milijonów to nie fraszka! Możnaż teraz przyjść do czegoś, kiedy Rotszyldowie tak żarłocznie wszystko pochłaniają!

Dyktatorski sposób mówienia, jakiego marszałek Bugeaud w Algeryi przy każdéj sposobności sobie pozwala, wywołał następne przycinki w angielskim satyrycznym dzienniku »*Punch*«: »Gdy marszałek Bugeaud przed niedawnym czasem do księcia Aumale publicznie przemawiał, słyszano go często wyrażającego się: »Moja armija, moi żołnierze,« i t. d. Niezadługo zechce może powiedzieć: »Mój naród, moja Afryka,« i t. d.« — lecz sądzimy iż długi czas upłynie, nim pan Bugeaud będzie miał to szczęście powiedzieć: »Mój Abd-el-Kader.«

Poznanie się kolegów. Niedawno przyprowadzono pewnego złoczyńcę przed sąd karny w Londynie. Sędzia postrzegł z przerażeniem, iż winowajca był jego dawnym kolegą szkolnym. »Tyżeśto mój kochany Dżonie! I do tegoś więc przyszedł! A cóż się tam z naszym Tomem, Williamsem i t. d. stało?« — »Wszyscy na szubienicy, milordzie,« — odrzekł złodziéj — »prócz mnie i ciebie jeszcze.«

Rada lekarska. Pewna na ból głowy cierpiąca kobiéta pytała lekarza, czy może używać poleconego jéj nato domowego środku, to jest: okładania głowy kapustą? — »I owszem,« odpowiedział lekarz poważnie, »byleś pani na to lekarstwo i kiełbasek położyć nie zapomniała.«

Sprostowanie: W nrze 22m Rozm. na 7éj kolumnie, w przedziałce piérwszéj, na dole, zamiast: jest on zapiękną idei, czytaj: jest on z piękna idei i t. d.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.